

Władysław Stachurski dla LL! cz.III

Czwartek, 28 października 2010 r. godz. 13:50

Po sukcesach w roli zawodnika i trenerskiej przygodzie w Bydgoszczy, Władysław Stachurski został sprowadzony na Łazienkowską w 1991 roku. "Wówczas Legia zdobyła Puchar Polski pod wodzą Brychczego i Kapery, więc poniekąd wskoczyłem na gotowe" - mówi trener, który doprowadził nasz klub do 1/2 finału PZP. Zachęcamy do lektury ostatniej części rozmowy z Władysławem Stachurskim, z której dowiecie się m.in. jak do Legii trafili Wojciech Kowalczyk i Kenneth Zeigbo:

Pierwsza część rozmowy

Druga część rozmowy

Odnosząc sukces z Zawiszą mógł się Pan spodziewać kolejnego telefonu z Łazienkowskiej.

- Dokładnie tak było. Znowu chcieli, żebym wrócił do Warszawy. Natomiast w Bydgoszczy uważano, że dalej dadzą sobie radę. A ja w 1991 roku zawitałem do stolicy. Wówczas Legia zdobyła Puchar Polski pod wodzą Brychczego i Kapery, więc poniekąd wskoczyłem na gotowe.

Dzięki temu dokonania w europejskich pucharach stały się łatwiejsze?

- Dostałem zespół bardzo dojrzały, a zarazem wymagający pod kątem piłkarskim. Co prawda w lidze szło nam różnie, więc pałaliśmy się po 6-8 miejscu. Jednak zarówno zawodnicy, jak i ja, wiedzieliśmy, że szansą są europejskie puchary. Udało się. Wyliminowaliśmy ekipę z Luksemburga, szkockie Aberdeen, Sampdorię Genua i tak do półfinału, gdzie zatrzymaliśmy się na Manchesterze United. Satysfakcja była. Czuliśmy się spełnieni. Po 21 latach znowu uczestniczyłem w półfinale europejskiego pucharu, ale tym razem jako trener. Z jednej strony była to świetna szkoła jazdy, ale z drugiej możliwość wyciągnięcia dobrych wniosków.

Sukces smakował z pewnością podwójnie, bo mało kto wierzył w odprawienie Sampdorii z kwitkiem.

- Patrząc na to z perspektywy czasu... Gdybyśmy grali z Włochami wielokrotnie, to przykładowo na 10 spotkań, Sampdoria miałaby lepszy bilans. Bez dwóch zdań. Natomiast akurat wtedy, kiedy pierwszy mecz miał miejsce w Warszawie, my wygraliśmy 1-0. I to oni mieli problem. W Genui prowadziliśmy 2-0 i znowu rywale mieli problem. Gdybyśmy pograli dłużej, a spotkanie było przedłużone o 7 minut, to przyznaję, że nie wiem, jakby się to skończyło.

Tym bardziej, że graliśmy już bez bramkarza.

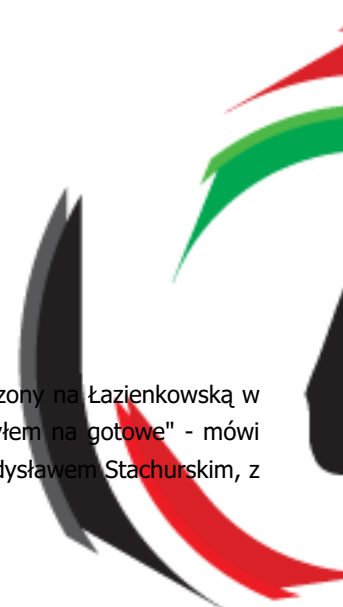
- Maciek Szczesny zasłużył na kartkę, bo Roberto Manciniego faktycznie odepchnął, ale go nie uderzył. A tak, dostał "czerwień" i Marek Jóźwiak wszedł do bramki przy rezultacie 2-2. Po minucie, może dwóch, Lombardo będąc na spalonym z siedmiu metrów pudłuje. Seta!

W jakich okolicznościach Wojciech Kowalczyk trafił do Legii?

- Dostałem sygnał od gościa, którego znałem z kursu trenerskiego, że jest fajny chłopak na Bródnie. A ten gość, nazywał się Janusz Olędzki. To powiedziałem: "To przywieź mi go". Zorganizowaliśmy mecz, gdzie przeciwko szerokiej kadrze Legii testowaliśmy różnych piłkarzy pościąganych ze stołecznych klubów i okolic Warszawy, jak choćby Kukułka. Oglądaliśmy to spotkanie wraz ze sztabem trenerskim i u każdego przy nazwisku Kowalczyk były plusy. Po dwóch tygodniach "Kowal" wylądował w Legii, żeby po upływie kolejnych siedmiu dni zadebiutować w lidze, bo Roman Kosecki pauzował za kartki.

Sampdoria była naszpikowana gwiazdami, a Legia wyszła na nich z anonimowym Wojciechem Kowalczykiem. Nie bał się Pan stawiać na 19-latkę w takich spotkaniach?

- A czego miałem się bać? Na pewno chłopak był utalentowany, nie miał kompleksów, cechował się szybkością, startem do piłki, choć nie brakowało mu wad. Ja mu tylko dałem szansę, a on ją po prostu bardzo dobrze wykorzystał. Wtedy stawiałem na dwóch



napastników - na Jacka Cyzio i Andrzeja Łatkę. I cóż, grają, grają, grają mecze, ale nic nie mogli w przodzie zrobić. Wpuszczam "Kowala", a ten odpłaca się bramkami, to nad czym było się zastanawiać? Jeszcze tak się ułożyło, że bodajże w 9. minucie Łatka złapał kontuzję mięśnia dwugłowego. Ponownie wchodzi na murawę Wojtek, a on swoim trzecim meczu z "eLką" na piersi strzela dwa gole. Podkreślam, że on tę szansę wykorzystał. Żałuję tylko, że tak szybko rozstał się z futbolem, bo mając 28 lat on mógł jeszcze trochę pograć. Cóż, to był jego wybór, nie mój.

Można było wyeliminować Manchester United w półfinale PZP?

- Powiem tak, to nie jest przekora - my na pewno zrobiliśmy krok do przodu po wyeliminowaniu Sampdorii. Ale jak zobaczyliśmy jak to wszystko wygląda z bliska to wiedzieliśmy, że w pewnym momencie dojdzie do tego, że bogatego się zaprasza, a biednemu się daje. Tak to wyglądało. Trener Bożkow powiedział mi po meczu w Genui: "ilu waszych kibiców przyjedzie na finał? 200? 300? To jest kasa panowie." I koniec. Golasów do stołu się nie dopuszcza.

Gola straconego z Manchesterem na 1-1 można było uniknąć.

- To taki trochę humorystyczny gol. Gmur i Cyzio to szwagrowie. Obaj ożenili się z córkami crossowca, Bogdana Urbaniaka. Jak Jacek Cyzio strzelił gola na 1-0, to Gmur, grający w obronie, poleciał pod trybuny za bramkę od Łazienkowskiej całować szwagra. Jak Manchester wznawiał grę, to Gmur był dopiero w połowie boiska. Anglicy natomiast od razu podali do Sharpe'a na lewą stronę i tam poszła akcja i 43 sekundy później straciliśmy bramkę. Gmur nie zdążył wrócić. Później Marek Jóźwiak się zagotował i wyrzucili go z boiska i dalej graliśmy w dziesiątkę. Ostatecznie przegraliśmy 3-1. Z mojego punktu widzenia, my mogliśmy mecz rewanżowy w Manchesterze przegrać i "piątką", ale jak byśmy mieli dzień konia - w piłce rzadko, bo rzadko, ale taki dzień się zdarza - to być może jedną bramką byśmy wygrali. Mieliliśmy tam dwie bardzo dobre sytuacje. Skończyło się 1-1, ale w przekroju całego meczu rywale byli zespołem zdecydowanie lepszym. Nie czarujmy się - to nie była drużyna do przeskoczenia dla nas. Tak jak powiedziałem przy okazji meczu z Sampdorią, wtedy my byliśmy od nich lepsi. Ale gdybyśmy powtórzyli pojedynek, w dystansie na pewno by z nami wygrali. Oni by jeszcze z 5 razy z nami wygrali, my może raz i ze dwa razy byśmy z nimi zremisowali.

Jak wyglądały relacje między Robakiewiczem a Szczęsnym?

- Ja miałem ocenić ich za postawę na boisku, a nie regulować kto ma przyjść do kogo na imieniny. U mnie na dzień dobry rywalizację wygrał Maciek i to on był pierwszym bramkarzem. Zbyszek przyjął to bardzo fajnie. To byli porównywalni bramkarze pod względem potencjału, ale warunki fizyczne zdecydowanie lepsze miał Szczęsny. Myślałem, że w meczu z Anglikami będzie bronił Maciek, a Zbyszek w Manchesterze zagrał ekstra. To on nam wybronił ten wynik 1-1. Po tamtym meczu to właśnie przed nim trzeba było zdejmować czapki z głów. Między tymi bramkarzami nie było żadnego obrażania.

Co zaważyło na Pana odejściu w 1991 roku?

- Po pierwsze dostałem propozycję wyjazdu zagranicę. Wiedziałem, że tego składu już nie będzie, bo zawodnicy popodpisywali umowy z innymi klubami. Tak było choćby z "Kosą". Różnie to wyglądało także z władzami klubowymi, na których czele stał Wojtysiak. Chciałem spróbować jak to jest poza domem. A że dostałem taką propozycję, to wyjechałem.

Jak to się stało, że drużyna, która w lidze radziła sobie bardzo słabo, tak świetnie spisywała się w meczach PZP?

- Wystarczy prześledzić skład tego zespołu. Oni doskonale wiedzieli, że to jest ich jedyna szansa by zaistnieć w piłce europejskiej i mieć szansę wyjazdu. Jeżeli oni mieli możliwość, to "sprzedawali się" w europejskich pucharach. To jest krócej, jest inny poziom oglądania. Tak to wyszło. Natomiast nam w lidze szło bardzo różnie - wygrana, porażka, wygrana, remis, porażka. Stabilizacji nie było. Ja wtedy zaproponowałem po konsultacjach z moimi szefami, żeby do drużyny przyszedł Zdzisiek Podedworny, trener reprezentacji olimpijskiej. Przyjechał, był na rozmowach, a ostatecznie trenerem został kto inny. Ale więcej nie chcę o tym mówić, bo nie byłem przy tym, a plotkami nie chcę się sugerować. Mam swoje zdanie na ten temat.

Jak wyglądał Pański powrót do Polski?

- Z Emiratów Arabskich wróciłem w 1992 roku. Przez pół roku nic nie robiłem, nabierałem dystansu do rzeczywistości. Nauczyłem się nie podejmować decyzji z gorącą głową. Afryka mnie nauczyła takiego podejścia. Tam zdobyłem wicemistrzostwo Emiratów. W tym czasie Bernard Blaut prowadził taką drużynę Al-Jazeera z Abu Dabi. Antoni Piechniczek prowadził drużynę Al-Shabbab z Dubaju. Ja z kolei prowadziłem Sharpe'a. Tam było sporo Polaków. Miałem w drużynie paru reprezentantów, którzy przy mnie się dobrze rozwinęli. Przyjeżdżając do Polski, nabierałem dystansu. Jak wracałem trenerem Legii był Krzysztof Etmanowicz. Pamiętam, że byłem na takim kontrowersyjnym meczu w Łodzi z San Marino, w którym Jan Furtok strzelił gola ręką. Spotkałem się po meczu z Ludwikiem Sobolewskim, który zaproponował mi pracę w Widzewie. On już wcześniej był po rozmowach z pryncypałami Widzewa. Pojechałem więc na rozmowy i dogadaliśmy się. Tam byłem od połowy września 1993 do maja 1995.

Jak doszło do rozstania z Widzewem?

- Z 11. miejsca w pierwszym sezonie udało nam się awansować na szóstą pozycję. A w kolejnym roku byliśmy równorzędnym partnerem dla Legii w walce o mistrzostwo Polski. Raz my prowadziliśmy w tabeli, raz Legia Pawła Janasa. Na parę kolejek przed końcem ligi pojechaliśmy do Szczecina i przegraliśmy tam 0-1 po karnym parę minut przed końcem. To była środa, a w piątek po zajęciach dowiedziałem się, że już nie jestem trenerem. Polskie piekielko. Spakowałem się, pożegnałem się z drużyną. Następnie kolega mnie przywiózł do Warszawy. Tego samego dnia dostałem propozycję wyjazdu do Egiptu, żeby utrzymać drużynę w I lidze. W trzy dni pozałatwiałem wszystkie sprawy i pojechałem. Zabrałem Leszka Szymonowicza do pomocy, który wcześniej był ze mną w Bydgoszczy i w Widzewie. I utrzymaliśmy się, ale drużyna finansowo nie stała najlepiej.

Jak doszło do tego, że został Pan selekcjonerem reprezentacji Polski?

- Jesienią 1995 roku, będąc w Polsce przeczytałem w gazecie, że jestem jednym z kandydatów do prowadzenia reprezentacji Polski. Wyszło tak, że w międzyczasie przed rozmowami finalnymi, Antoni Piechniczek przyjechał z zagranicy. Dostałem propozycję, bardzo męską. Antek miał być selekcjonerem, bo bardziej doświadczony, a ja miałem być trenerem 'do roboty'. Ale to uległo zniekształceniu. Zaproponowano więc mi, żebym został selekcjonerem. Było to dla mnie zaskoczeniem i powiedziałem prezesowi, że muszę to przetrwać, bo jest to spora odpowiedzialność. Powiedziałem, żeby dali mi dwa dni na przemyślenie. Ten jednak tylko uśmiechnął się i powiedział: "ma pan godzinę, my tu sobie posiedzimy. Co Pan będzie chciał, to oni na Ceglanej Panu wszystko dadzą." Był tam również Kazio Górski, Leszek Jezierski, Antek Piechniczek... Gdybym powiedział nie, możliwe że już nigdy bym takiej propozycji nie dostał. Zgodziłem się. To był listopad 1995 roku.

Przygoda z reprezentacją była jednak bardzo krótka.

- Przygotowałem plan przygotowań, obozy, przed eliminacjami do Mistrzostw Europy, wszystko zostało zaakceptowane, podpisane. Stworzyłem sobie zespół do współpracy. I po paru meczach towarzyskich okazało się, że już nie pracuję. Pojechaliśmy na Węgry, gdzie graliśmy z drużynami ligowymi. Legia w tym czasie grała w Lidze Mistrzów i nie można było powoływać jej zawodników. Pojechaliśmy na turniej do Hong-Kongu, Rosjanie z niego zrezygnowali, więc zrobiło się jedno wolne miejsce. Wtedy były dobre relacje między PZPN-em a taką firmą menedżerską Sacci-Sacci. Oni zorganizowali turniej Carlsberga, na który zaprosili Japonię, Szwecję, Rosję i Hong-Kong. My zastąpiliśmy Rosję. Zbyszek Kaliński, który był sekretarzem powiedział: 'jedziemy'. Ja chciałem pojechać tam składem ligowym, ale usłyszałem w odpowiedzi: 'nie, wtedy nas nie przyjmą'. Jak przyjechaliśmy na miejsce to już było po losowaniu, my trafiliśmy na Japonię, a Szwedzi na gospodarzy. Szwecja wygrała swój mecz, a Japonia w meczu z nami miała dzień konia. Mieli 6 setek, z których wykorzystali 5. My mieliśmy cztery dogodnie okazje, ale strzeliliśmy tylko raz w poprzeczkę - Marek Citko przy stanie 0-0. Andrzej Woźniak miał wtedy przechłapanie. Co uderzyli na jego bramkę, to gol. Później zagraли na Widzewie ze Słowenią, później z Białorusią. W tym drugim meczu powinniśmy prowadzić 4-0 do przerwy. Zamiast tego było 1-0 po голу "Kowala", a po przerwie to my musieliśmy się modlić. Ostatecznie Maciek Szczesny nas uchronił od porażki, bo przy stanie 1-1 wybronił sytuację sam na sam. Wtedy właśnie miała miejsce sytuacja opisana przez Kowala w jego książce. On powiedział mi kiedyś - 'panie trenerze, pan mi kiedyś zaufał, ja tyle ile będę mógł, tyle będę dawał'. I grał dotąd aż się przewrócił na twarz. A niektórzy potraktowali to jako zło konieczne. Dla wielu piłkarzy gra w reprezentacji nie była wtedy priorytetem.

Jak tłumaczono przyczyny zwolnienia?

- Powiedziano mi później - panie trenerze, trener jest od wygrywania. I tak skończyła się moja przygoda z reprezentacją, która trwała pół roku. Później reprezentację przejął Antek Piechniczek. Od 2000 roku byłem reprezentantem Legii na wybory do Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej.

Ponownie zawitał Pan na Łazienkowską.

- Po mojej przygodzie z reprezentacją, Paweł Janas poszedł z Legii do reprezentacji olimpijskiej, a ja z PZPN do Legii i objąłem pierwszą drużynę. Zrobiliśmy wtedy casting - co się ruszało, to my żeśmy wszystko brali, bo nie było drużyny. Trzeba było ją tworzyć od początku. Byliśmy później na obozie w Austrii. Następnie wylosowaliśmy drużynę z Luksemburga. Jak tam pojechaliśmy [17 lipca 1996 z Jeunesse d'Esch - przyp. LL!], to ja miałem przygodę zdrowotną. Drużyna wróciła do Polski beze mnie, ja zostałem w Luksemburgu. Po 10 dniach przyjechałem, a następnie przez trzy miesiące byłem na rekonwalescencji. Wtedy dostałem propozycję zostania dyrektorem sportowym klubu. Propozycję przyjąłem i z Legią byłem związany do 2000 roku.

Jakie były Pana obowiązki jako dyrektora sportowego klubu?

- Przez ten czas poznałem nowy segment działalności sportowej. Nie było jednak powiedziane, jaki jest dokładny podział obowiązków. To były początki takiej pracy.

Pan sprowadzał Zeigbo do Legii?

- Nie. Mnie go przywieźli i pokazali. Ja byłem w tym okresie odpowiedzialny za załatwianie transferów w klubie. On był u nas przez tydzień, a wcześniej on był przez miesiąc w Polsce - najpierw w Wiśle, później Ruchu, a następnie przez prawie miesiąc u Romanowskiego w Polonii. Ja po tygodniu zapytałem trenerów Legii, Mirosława Jabłońskiego i Lucjana Brychczego, czy ten zawodnik jest wam potrzebny. Odpowiedź była twierdząca. No to go załatwiliśmy.

Piłkarsko był to strzał w dziesiątkę.

- Zdecydowanie. Niestety później menedżer, który go sprowadzał, zrobił mu wodę z mózgu. Wmawiał mu, że pojedzie na Mistrzostwa Świata w 1998 roku do Francji. No i Zeigbo nam zwariował. Ale życzę sobie, żeby takie transfery nam wychodziły.

Co zadecydowało o przegranej 2-3 z Widzewem w 1997 roku i utracie szans na mistrzostwo Polski?

- Błędy taktyczne. Przecież Legia prowadziła 2-0. Ja byłem na tym meczu. Byłem wtedy związany emocjonalnie z tą drużyną. Uważam z perspektywy czasu, że nie wszyscy podołali temu zadaniu.

Zdobycie Pucharu Polski nie smakowało już tak jak byłoby w przypadku innej końcówki meczu z Widzewem.

- Legia zawsze będzie postrzegana przez pryzmat mistrzostwa, pierwszych trzech miejsc w lidze i finału Pucharu Polski. To jest plan minimum. Jeśli tego nie osiąga, to nic się nie liczy. Tak jest odbierana Legia przez kibiców i przez decydentów klubu. Życzyłbym sobie, żeby Legia grała tak jak tego chcą ludzie.

W ostatnich latach Legia nie osiągnęła żadnych sukcesów w europejskich pucharach...

- To ja powiem inaczej, proszę mi pokazać polskich trenerów, którzy zaistnieli. W 1970 roku półfinał PEMK jako zawodnik, 21 lat później półfinał PZP jako trener. Teraz jest nowa generacja ludzi. Proszę prześledzić od kiedy oni pracują. Trenerów na pewno nie można rozliczać po dwóch miesiącach, ale po półtora - dwóch latach tak.

Był Pan na otwarciu stadionu Legii na meczu z Arsenalem, ale pamięta Pan również pierwszy mecz na Łazienkowskiej przy sztucznym oświetleniu.

- Na pierwszy mecz przy elektrycznym świetle na Legii przyjechałem ze zgrupowania w Rembertowie, gdzie przebywałem z reprezentacją Warszawy juniorów. Pamiętam, że jupitery na Legii miały wtedy moc 600 luxów. A w końcówce meczu to może ze 400. To było piękne wydarzenie. Ale jak to bardzo wszystko się zmienia widać teraz, kiedy oddano do użytku nowy stadion. A żeby była transmisja w telewizji musi być oświetlenie o mocy 1400 luxów.

Spędził Pan w Legii 31 lat. Czy klub w jakiś sposób docenia takie osoby?

- Od paru lat jestem w Galerii Sław Legii. Zaproszono mnie również na mecz otwarcia nowego stadionu z Arsenalem. Jako były trener i zawodnik Legii dostaję abonament na cały sezon. Jak to się mówi jestem ukołyszany. Uważam, że tak to powinno wyglądać wobec byłych zawodników. Ja się z tego bardzo cieszę.

Cały czas śledzi Pan wyniki Legii?

- Jeżeli czas mi na to pozwala, to staram się chodzić na mecze przy Łazienkowskiej. Jak już wspomniałem mam abonament od klubu, ale ze względu na pracę nie mogę być na wszystkich meczach.

Kiedy przyjdzie czas na ocenę pracy Macieja Skorży?

- Żeby trenera uczciwie ocenić potrzebna półtora roku, a najlepsze są dwa pełne sezony. Zmiana w różnych aspektach, lepsza jest w okresie zimowym, bo jest dłuższy okres czasu, niż okres letni, kiedy jest tylko 6 tygodni przerwy.

Rozmawiali Marcin Bodziachowski i Paweł Krawczyński